



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji Kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Prelekcje Publiczne Fr. Henryka Lewestama. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielbagen, przełożył z niemieckiego Michał Gliszyński. — Korespondencja ze Lwowa. — Przegląd teatralny.

PRELEKCJE PUBLICZNE

FR. HENRYKA LEWESTAMA.

(Dalszy ciąg).

Pod koniec IV w. przed Chr. pojawiła się trzecia faza greckiej komedii, znana pod nazwą *nowszej attyckiej*, która właściwie oddzielną nie potrzebuje definicji: — jest to bowiem bez mała komedia dzisiejsza, naśladowanie życia potocznego, obrazowanie obyczajów i charakterów, z którymi w rzeczywistości każdego dnia się spotykamy. Jeżeli już średnia komedia coraz bardziej zaniedbała była stosunków publicznych, nowsza zupełnie ograniczyła się na wypadkach powszednich; postacie jej, brane zwykle z niższej warstwy społecznej, wyobrażały charaktery najogólniejsze, rozwijające się w dowcipnie osnowanych intrygach, przeprowadzanych przez rozmaite sytuacje komiczne. Celem jej było nauczanie, a środkiem ku temu jak najprzyzwoitsze wytykanie śmiesznych stron w społeczeństwie: — chór, jako już niepotrzebny, znikł bezpowrotnie. Samo się przez się rozumie, że zbyt szczypliwy zakres takiej komedii, bo obarczający się ustawicznie w ciasnym kółku starych żrzdów, synów marnotrawnych, uczynnych pokojówek, przebiegłych niewolników i t. p. figur, sam w sobie nosił zarodek blizkiego upadku: — raz wyczerpnięty, ustał własnym ubóstwem. Dopiero poeci rzymscy na swój sposób komedię tę znów ożywili, z nich też jedyne dokładne powziąć możemy wyobrażenie o pierwowzorach Menandra, Filemona i innych, po których również nader drobne nam tylko pozostały fragmenta.

Okoliczność ta, prostym następstwem, naprowadza nas na komedię u Rzymian.

Przedewszystkiem winienem tutaj zaznaczyć, że za najlepszych nawet czasów rzeczywistej rzymskiej, życie państwowe zawsze przesiąkłe było jakimś zaduchem arystokratycznym: — senat zazdrośnie czuwał nad wszystkiemi zbyt swobodnemi objawami humoru gminnego, a udział jego w sprawach rządowych i politycznych tak dalece przeważał, że kwestye publiczne nie mogły stać się nigdy przedmiotem żartów publicznych. O rozwoju oryginalnej rzymskiej komedii, komedii ludowej, chociaż miała i ona w tak zwanych *Atellanach* pewne nie bez zalet początki, nie było zatem co myśleć, a kiedy współcześnie z tragedją przeniosła się z Grecji do Rzymu także ko-

medya, naśladowanie dawniejszej attyckiej istnieniem było niepodobieństwem, chyba żeby kto miał ochotę, jak Naevius, swawolę odpokutować w więzieniu; — zaś życie prywatne w tej epoce, w której *nowszą* komedię przeszczepiono do Rzymu, zbyt słabo jeszcze było tu rozwiniętem, w stosunkach potocznych nadto było prostoty, — za mało zresztą było owych wewnętrznych sprzeczności, komedii niezbędnych, a wynikających jedynie z wyższego już jakiegoś stopnia oświaty. Właściwa komedia mogła więc poruszać się tylko na cudzym gruncie, t. j. na greckim, — należało zatem widzowi odrywać się od położenia własnego, żeby komiczność uznać prawdziwie komiczną, — ale czyż każdy potrafił w takim oderwaniu się doświadczać bezpośredniej tej przyjemności, jaką sprawia nam podniesiona do ideału kopia śmieszności, zdjęta z własnego naszego otoczenia?

Samo się przez się rozumie, że niemają pod tym względem przeszkodą być musiał i język, który właśnie na tym polu obcej potoczności z trudnością tylko nagiął się do najpowszedniejszych z pozorów wymagań. Lecz trudności te, im były rzeczywistsze i większe, tym większy nasz podziw dla genialnych pisarzy, którzy, jak Plautus, z taką siłą i takim powodzeniem ująć umieli w karby oporny ten żywioł.

Komedia grecko-rzymska utrzymała się na scenie niedługo: — jedyny i pełen naiwnej siły Plautus byłby zapewne potrafił uchować ją jakiś czas jeszcze w zajęciu podobnej publiczności, ale jego następca, subtelny i wyrachowany w swoich środkach artystycznych Terencjusz, nie mógł już tak bezpośredniego sprawić wrażenia na ogół, — a prawdę mówiąc, dwaj ci poeci są Alfa i Omega całej naszej znajomości rzymskiej komedii. Wnet też poczet znakomitych komedyopisarzy okazał się zamkniętym na zawsze, — już tylko słabsze talenta naśladowcze wstępowały w ślady tych wzorów. Skutkiem tego lepsze sztuki dawniejsze powtarzane i powtarzane ciągle aż do znużenia, weszły w końcu do martwej kategorii dramatów tylko czytanych, i zaległy półki księgozbiorów, gdzie je czytelnicy raz uwielbiali, jak Warron, raz ostro krytykowali, jak Horacy. Ze sceny atoli wyparła je tymczasem wrodzona ludowi rzymskiemu miłość bucznych widowisk i wpadających w zmysły efektów: — komedia ustąpiła miejsca *mimom*, te znów *pantomimom*, tak iż ostatecznie w jednych już tylko Atellanach, choć zapewne i tu nader biędnie, utrzymywała się jeszcze czas jakiś dramatyczna poezja. Później i te Atellany zeszyły z pola w obcwalk Gładyatorskich i dzikich zwierząt, którym wielka massa zawsze już dawała była pierwszeństwo przed szlachetniejszą sztuką, zrazu wprawdzie nie bez pe-

wnego wstydu, później otwarcie i z szczerem wyuzdaniem.

Powiedziałem już, dla czego komedia rzymska nie naśladowała dawniejszej attyckiej, lecz raczej brała wzory z średniej i z nowszej. Otóż, jeżeli wyrzekł już jeden z największych krytyków zeszłego stulecia, Lessing, że tegoczesna komedia nie wyszła po za granicę zakresloną jej przez Plauta i Terencjusza, dał on tym zarazem do zrozumienia, że charakter tych pisarzy rzeczywiście zupełnie był nowożytnym, — jakoż był nim, mniej chyba tylko jednym żywiołem romantycznym, którym w części przynajmniej prześiała nasza komedia, — za czem poszło, że charakter tej trzeźwej, gładkiej i wylizanej nowożytności zauważyliśmy już także w średniej komedii greckiej, a bardziej jeszcze w Menandrze i jego następach. Jedną wprawdzie jeszcze istnieje różnica pomiędzy dzisiejszą komedią, a Plautowską i Terencjuszowską: pierwsza bowiem, od czasów Moliera, zajęła salony i dwory, gdy tymczasem grecka i rzymska obracała się jedynie w kółkach średnich i niższych, — bądź dla tego, że w wyższych zbyt wiele było szalbierstwa, bądź że zanadto były nudne.

Natomiast pod względem charakterystyki figur komedyopisarzy klasycyści mniej więcej na tej samej stali podstawie, co nowsi. Życie rodzinne wprawdzie w starożytności nie tyle miało znaczenia, — instytucja małżeństwa zwłaszcza daleko mniejszej była wagi, a uczciwe kobiety zupełnie były wyłączone ze sceny komicznej. Poszło to ztąd, że mężczyźni wiedli sposób życia swobodniejszy, mniej krepowany, niż u nas, — bez wątpienia niemoralniejszy, ale łatwiejszy też do wybaczenia, skoro zbywało im na potulności i tkliwości domowego ogniska. Ztąd i ruchy całej komedii były wolniejsze, a co nam wydaje się nie do darowania nieprzyzwoitością, u nich bynajmniej nie raziło. Przybierała do tego jeszcze instytucja niewoli, u nas nieznana, a tak głęboko wrosła w życie Starożytności. Losowi tej niewoli ulegali częstokroć ludzie najzaciejsi i najwykształceńsi, niewolnicy bywali nie tylko sługami do spełniania najniższych robót domowych, lecz także w najważniejszych sprawach doradcami i pomocnikami, zwłaszcza, gdy w epoce coraz większego upadku, inteligencja najbardziej wykształconych panów w podobnych wypadkach okazywała się nieraz niewystarczającą.

Zakres charakterów pojawiających się w rzymskiej komedii był ztąd mniej więcej dość jednostajnym: — starzy, dobroduszni ojcowie, oszukiwani zwykle przez lekkomyślnym synów, częstokroć także zdający się na to dobrowolnie, bo pamiętający o własnej młodo-

ści, a odznaczający się przytem prawdziwie szlache-tną rodzicielską miłością, — lekkomyślni młodzieńcy korzystający z ojcowskiego majątku i wieku, dla używania przyjemności życia i zabawiania się mi-łosnemi sprawami, chociaż i prawdziwa miłość nie bywała im obcą, do tego stopnia, że nieraz umieli unikać przymusu małżeństw jedynie konwencyonal-nych, — wolnych obyczajów niewolnice lub wyzwolo-nych, które los zawistny zniewolił do zdobywania sobie w przelocie intrygami lub sztuką zalotności tych ze-wnętrnych dóbr życia, jakie szczęśliwszym zapewnia bogactwo lub urodzenie, — starzy i młodzi niewolni-cy, dopomagający wiernie ojcom lub synom, albo zwod-żący i jednych i drugich, choć dla tego właśnie, że byli niewolnikami, nie zawsze jeszcze tém samém godni pogardy, owszem w charakterze których prze-bija się nawet najczęściej przecucie tego, czémby mogli być ci ludzie bez spodlenia niewoli, — stare mamki niewolnice, tém usłużniejsze dla rozpieszczo-nych swoich mlecznych córeczek, im bardziej same nie zaznały nigdy szczęścia uwzajemnionych uczuć ser-cowych. Otóż za pustotą tych charakterów rozwija się tło najczęściej głęboko moralne, może nie zawsze, dla komiczności przedmiotu, dojrzałe, a które w zu-pelności wtenczas dopiero pojąć zdołamy, gdy sta-niemy na stanowisku wieku i obyczajów ówczesnych. Starożytni komicy więcej posiadali delikatnego po-czucia moralnego, aniżeli przypuszczają należało z jednych i szorstkich nieraz form ich utworów — a na tém właśnie polega w wielkiej części genialność ich humorystyki poetycznej, że poczucie owo nie leży na dłoni i nie jest namacalnem dla wszystkich, — że owszem najwyuzdańsza nieraz krotocwilność akcyi mieści w sobie i uwydatnia najgłębszą sentencję mo-ralną.

Oczywiście w rozwoju takiej akcyi i takich cha-rakterów potrzeba było i innych jeszcze postaci, wy-obrazających w pełnem znaczeniu najekliwszą nikiemość ludzkiej natury, — bo tylko tam, gdzie się jedne z drugimi stykają, szlachetniejsze wytryskać mogą iskry. Do takich charakterów, niemniej je-dnostajnie wracających się we wszystkich tych ko-medyach, należą pieczeniarze i przyjaciele domowi, nie robiący nic darmo i kładący natychmiast na szali chleba i zapłaty każdy dowcip i każdą wyświadczoną przysługę, — niewolnicy z duszą prawdziwie nie-wolniczą, bojący się jednego tylko bata, — nie-okrzesani dorobkowie i samochwałki żołnierskie, — szalbierze polityczni, żyjący z potwarzy, — upadłe w swoim zepsuciu kobiety, — słowem, wszystkie te nędze, które niestety! nieśmiertelnemi bywają, to-warzyszkami ludzkości.

Pod względem traktowania treści greckiej w rzym-skiej komedii, widzimy wielką swobodę i niezależność, co wnosimy nie tylko z mnóstwa aluzji do szcze-gółów rzymskich w tych sztukach, których rzecz wy-łącznie dzieje się w Grecyi, ale także z napomknięć dawnych pisarzy, znających jeszcze te wszystkie u-twory, których do nas doszła tylko ilość tak szczu-pła. Pisarze ci odróżniają wyraźnie komedię *palli-ata*, odgrywaną w odzieży greckiej zwaną *pallium*, do rodzaju których należy większość sztuk łacińskich po dziś dzień zachowanych, od komedii *togata*, w któ-rych aktorzy ubrani byli w *togi* rzymskie. Pod te-mi ostatniemi zaś rozumiano przerobione z grecka na rzymskie, jak to i u nas fabrykanci *narodowych* repertuarów scenicznych, sprzykrzywszy sobie fran-cuzkich labusiów lub hofratów niemieckich, w ich miej-sce wyprowadzać zwykli jakichś swojskich obywateli, urzędników, byłych wojskowych i tym podobne postaci. Rzymianin Plautus przecie dzielnie potra-fił pokonać niebezpieczny ten szkopuł, bo cho-ciaż i on nie rościł sobie prawa do chwały inweni-ji, na pierwszy raz rzut oka poznajem, że oryginał greckie obrabia z ową pewnością i śmiałą swobodą, która bywa cechą prawdziwego geniuszu. W samą rzecz poety, który z takim mistrzostwem władać umi językiem, — który do tego stopnia obfituje w najwyborniejsze dowcipy i igraszki wyrazów, jego tylko mowie właściwe, — który z tak potężnym hu-morem umiał w treść obcą, wpleść mnóstwo okolicz-ności odnośnych do stosunków wyłącznie ojczystych, taki poeta mimowolnie całemu także charakterowi treści wziętej z obcego źródła osobiste swe weisnąć musiał pigę. Bez wahania więc zaliczamy Plauta do największych poetów rzymskich, a zarazem do najznakomitszych komedyopisarzy wszystkich cza-sów i krajów: — ubolewać tylko należy, że wielkość jego nie została jeszcze bezwarunkowo uznana, jakby niewątpliwie i ze wszech miar zasługiwała, — uwi-

biamy w nim bowiem prawdziwego twórcę i zara-zem niedościgniętego olbrzyma sztuki dramatycznej u Rzymian.

(d. n.)

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński.

(Dalszy ciąg.)

— A ja myślałem że książęta mają tylko kapelu-sze, rzekł radca handlowy z udaną głupotą. Nie jestem w tych rzeczach kompetentnym sędzią, bom plebejusz, ale ty panie szwagrze musisz to dobrze wiedzieć.

— Bez żadnej wątpliwości odpowiedział zapytany.

— Myślisz zapewne o swoim dostojnym synu, czy to stosowne jest dla niego towarzystwo księcia, który się rujnuje. Pojmuję twoją obawę, bo wyglądasz te-raz jak węgorz, z którego skórę zdzierają.

— Daruj panie szwagrze, ale nie myślałem w tej chwili o Arturze; myślałem o tem czy sprzedaż księ-ciu Zehrendorfu przyjdzie do skutku, i że w tym ra-zie książę okazał wiele rozwagi i znajomości inte-resów.

— Co to ma za stosunek z jego mądrością lub głupotą? zawołał radca handlowy. A! prawda ma, bo im będzie głupszy tem mu drożej dobra sprzedam. Ale nie wiem czy dostanę na to pozwolenie od mojej córki. Na żaden sposób nie chce przystać na to, że-by Zehrendorf przeszedł w obce ręce. Ma także w sobie szlachecką krew, jak pani radczyni, musi się więc inaczej na te rzeczy zapatrywać niż ja prosty człowiek. Mogłem je być już dawno sprzedać panu Granów, który mi bardzo dobre podawał warunki, ale Hermina utrzymuje, że pani Granów nie jest szlachećką urodzoną, a urodzeni są tylko szlachta, reszta ludzi są stworzonymi tylko. Ale co ja chcia-łem powiedzieć, Hermina powiada, że nie chce mieć takiej następczyni po sobie. Miłosierny Boże! ona nikogo nie uważa godnym siebie, może, może tylko pana Jana z Trantowa.

— A jak mu się powodzi? zapytałem.

— Bardzo dobrze odpowiedział radca handlowy; je, pije i śpi, to dla czego miałoby mu być źle na ziemi. Jest to wielki faworyt Herminy: zdaje mi się że możeby się odważyła pójść za niego, gdyby go chociaż raz trzeźwego złapała. Panna Paulina, na tak szkaradną mowę, załamała ręce, spojrzała na mnie z wiekującą prawdą, a państwo radcostwo mrugnęło na siebie nieznacznie. Dojrzałem w ich twa-rzach jakiś odcień radości, a pan radca skarbowy za-raz rzekł:

— Jest stare przysłowie, panie szwagrze, które mi zawsze na myśl przychodzi ile razy słyszę podob-ne mowy.

— Przysłowie? nie wywołuj wilka z lasu! krzyknął radca handlowy. Ale bądź spokojny; wilk nie przyj-dzie ale i Artur nie przyjdzie! I śmiał się ze swoje-go dowcipu, bo wiedział że dogryzł nim dobrze pana szwagrowi.

— Nie mam wcale tak wysokich zamiarów, naj-droższy panie szwagrze, odpowiedziała urodzona rad-czyni, czerwona jak burak.

— Jeżeli tak to bardzo pięknie. Czy i ty nie myślisz o tem kochany szwagrze? Czy i wasz syn nie myśli o tem? W takim razie nie można nic wię-ciej od was wymagać. A z resztą pani szwagrowo, Trantów pochodzi z tak stariej familji, że powinnaś się wstydzić ostatniego jej potomka z byle kim po-równywać.

— Jeżeli idzie o dawność rodu, to prawda że Tran-towie sięgają czternastego wieku, ale Zehrenowie...

— Wiem, wiem, słyszałem to już sto tysięcy ra-zy! Jesteście starą, bardzo starą szlachtą ale zawsze już przestarzałą. Chodź do mojego pokoju, mój młody przyjacielu, tam przynajmniej o czemś rozsąd-niejszem pomówimy.

Pokój radcy handlowego był i kancelaryą zara-zem. Meble proste ale wygodne, różne szafy z re-jestrami, kilka złych kopij z dawnych mistrzów i kil-ka jeszcze gorszych nowych oryginalnych obrazów; dwie statuy króla i królowej, na środku stół z różne-

mi papierami a nad nim wisiła lampa; na stole sta-ła otwarta szkatulka z cygarami. Radca rzucił się na krzesło jakby zmęczony lub zły, wyciągnął małe grube nogi przed siebie i rzekł:

— Tak jest mój kochany młody przyjacielu! Bierz! Wyborne! Prosto z Hawanny. Tydzień te-mu przywiózł mi je kapitan, chociaż szwarcowane a brat bratu mógłby za nie dać sto dwadzieścia tala-rów za tysiąc. A co powiesz o tym śmiesznym głup-cu moim szwagrze i obrzydliwej szwagrowej? Trzy tygodnie już siedzą mi na karku, ale za to nie dają im i ja chwilki pokoju. Musiałeś się doskonale uba-wić?

— Nie panie radco.

— Jakto nie? Dla czego nie? Widać, nie byle co może cię zabawić.

— Przeciwnie panie radco, lubię wesołą i miłą rozmowę, ale nie znajduję to pięknem, jeżeli gospo-darz traktuje swoich gości, jacykolwiek by oni byli, jak ostatnich błaznów.

— Czy to tak? A to znowu coś zupełnie nowego dla mnie.

— A jednak jest to stara bardzo prawda panie radco; już od początku świata między ludźmi znana i wykonywana, a która dziś jeszcze między najdik-szymi plemionami ściśle jest wypełniona, chybaby byli ludożercami.

— Ludożercy, paradnie! Ludożercy wybornie! mówił radca śmiejąc się z całego serca. Cudownie! Jak ci smakują cygara? Ale powiedz otwarcie.

— Jeżeli mam otwarcie powiedzieć nie smakują mi wcale.

— Nie smakują ci, młody przyjacielu? Trudno ci widać dogodzić. A gdzieś to palić lepsze?

— Żeby otwarcie powiedzieć, paliłem bez porów-nania lepsze tu w Zehrendorfie, kiedy młodzieniasz-kiem tutaj mieszkalem.

— A prawda. On się znał na tem. Ale też on ni-gdy nie opłacał cła jak my.

— Zdaje mi się panie radco, że mi pan powiedział że i te cygara nie były oclone.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, że mi się wyda-ło że zadzwoni i każe mi lokajom z domu wyrzucić. Nie zadzwonił a najspokojniej zapytał się.

— Kiedyś taki znawca, to wiele podług ciebie warte to ziele?

— Dawszy dwadzieścia toby się je przepłaciło.

— Ośmnaście tylko kosztują. Ale czyż można gościom dawać dobre cygara wprzód nim się dowie, że się znają na nich?

Pokażę ci teraz inne.

— Które między braćmi warte sto dwadzieścia?

— Rzeczywiście tak, ty szkaradny ironiczny czło-wiek! Skoczył z krzesła, pobiegł do szafy i wyjął z nich pudełko cygar które były, prawdę powiedzia-wszy, jeszcze lepsze niż cygara Dzika.

Mój zacny gospodarz tak się ubawił tą komedią, że kazał przynieść butelkę Steinberger — Cabinet, z której dolewał mi ciągle a sam tylko cmokał z kie-liszka. Znałem go dawniej jako człowieka, co wypijał zwykle na siebie trzy flaszki wina, kiedy więc te-raz tak był powściągliwym miał widać do tego spe-cjalne powody. Powód ten wkrótce się wyjaśnił. Chciał on, znając mnie dobrze, że nie bardzo był otwartym, rozruszać mnie winem, jak to mówią i wy-dobyć ze mnie szczere zdanie o wielu rzeczach, które go mocno obchodziły. Widziałem później że bardzo często używał tej metody, i cieszyło mnie to że tak dobrze odgadł chytrego lisa.

Dowiedziałem się dzisiaj wieczór jeszcze o jednym manewrze, w którym pan radca był mistrzem. Ma-nerw ten zależał na tem, że utonawszy w fotelu, na pół przymrużywszy oczy gadał o tem i o owem, ni-by to ni w pięć ni w dziesięć, a nagle zwracał się na przedmiot, który go żywo obchodził i wyciskał z lu-dzi co mu było potrzebnem. Oskaniał się czarną chmurą jak atramentnik, który ma ci wodę żeby uciec przed nieprzyjacielem, z tą różnicą że szczupak ten miał kształty królewskiego radcy handlowego, a napa-dał na biedną płótkę.

Północ już minęła kiedy mnie Wilhelm odprowa-dził do mojego pokoju. Zapalił obie świece na sto-le, zgasił lampę, i zapytał się o której godzinie ma mnie obudzić? Odpowiedziałem mu że się sam bu-dzę podług potrzeby. Wtedy opuścił mnie z najgłę-bszą uniżonością, która strasznie śmiesznie wyglądała porównana ze śmiałością poufałą, jakiej sobie przed kilku godzinami ze mną pozwalał.

Nie myślałem wcale o spaniu. Wszystko com widział i słyszał w domu mojego gospodarza mocno

mię zajmowało, a niezwykle moje położenie rozbudziło we mnie dziwne uczucia i myśli. A że w dodatku wypilem sporo mocnego wina, nie dziw że mi się zaczęły uwijać przed oczami różne fantastycznorzeczywiste postacie. Naprzód radca handlowy ze swoją chmurą i paszczą szczupaka; panna Paulina Bête z sentymentalnym drganiem wodnistych oczów i żółtych loków, radca skarbowy z małą białą ręką, ubraną bogatym herbowym sygnetem, urodzona baronówna z fałszywymi zębami, z fałszywymi włosami i fałszywym uśmiechem, a wreszcie ona, co tu na otomance spoczywała, może w tem samym miejscu, gdzie ja teraz cygaro palę; owa mała elastyczna postać młodej dziewczyny, z lekko drżącymi ustami i jasnymi jak niebo, niebieskimi oczami.

Dziwniejszym nad to wszystko było to, że po za przelatującymi jak w kalejdoskopie postaciami, stawały na tynnym planie stosunki, w które teraz wchodziłem, a które, jak mi się zdawało, przejrzałem w najskrytszych zakątkach, jakby mi jaki czarownik pokazał swoją czarodziejską laseczką, wszystkie skarby świata, które nieznane mi, leżały w głębi ziemi. Już raz w życiu miałem taką chwilę, kiedy się dowiedziałem że wielki pan na Zehrendorfie był prostym defraudantem. I dzisiaj znowu myślałem sobie, że ten nowy dom stoi także na spróchniałej podstawie, że lada chwila, oslepiające szczęście tego człowieka może runąć pod ciężarem kolosalnego bankructwa. Nie było wprawdzie do takich przypuszczeń żadnej prawdopodobnej podstawy, mimo to nie mogłem odpędzić od siebie tej myśli, a przepych tego pokoju, przepych domu, słowem wszystko com od dzieciństwa aż do obecnej chwili o bogactwach tego Krezusa słyszał, stawało ciągle przedemną w śmiesznym przeciwnieństwie z nędzą bankruta. Z czego się ta myśl u mnie wyległa? Dziwnego rodzaju drżenie głosu, kiedy mówił o wielkich składach zboża, które od przeszłego jeszcze roku pozostały, o spadaniu cen, w skutek różnych wypadków w Anglii; jakaś gorączkowa żywość, kiedy mu objaśniał, że koleje żelazne będą najważniejszym przemysłem przedsiębiorstwem, że trzeba rzucić się na oslepek do fabrykacji lokomotyw i wagonów, a na dobitkę nieodstępną myśl, żeby sprzedać Zehrendorf księciu Prora za 500,000 talarów, jak sobie życzył. Cudacka ta myśl nie dała mi pokoju. Stałem przy oknie i wpatrzywszy się w ciemnie nocy, myślałem czy marzyłem.

— Tak jest! Dla czegożby to stać się nie mogło? Czyż to jest nieubłagana prawica Nemezis? Owa stara rycerska szlachta która tak długo na świecie dokazywała, nie widziała i nie zrozumiała znaków na niebie, aż duch czasu zepchnął ich w nicość, jak dzielny koń wysadza z siodła niedoświadczonego jeźdźcę. Umarli prędko jeżdżą, to i człowiek ten kramarz, co siadł na biegunie rycerza, zginie marnie jak tamten. Brzydka cheiwość i podły egoizm były żywiołem i tamtego i tego. Czyliż oba nie mieli i nie mają tej dewizy na swojej tarczy: ja dla siebie a wszyscy i wszystko dla mnie. Czyliż pomyślał kto o biednym ludzie? Myślał o nim jak o swoim koniu, wołu, lub niewolniku. Nie jest to prosty przypadek, że dawniej dumny szlachcic a dziś pychałek kramarz, na ludzie opierają swój byt i bogactwo. Czyliż nie dawno temu, sam mi nie opowiadał, jak ojciec jego i on, umieli skorzystać z napoleońskiego systemu kontynentalnego, i jak zgrabnie usunęli się z tych interesów, kiedy już stawali się niebezpiecznymi. Czyliż nie będzie to słusznym, jeżeli się stanie to samo kramarzowi, który się chce na szlachcica wystrychnąć, co się stało szlachcicowi, który kramarzem został? Tylko tamci pierwsi nie będą istnieć tak długo jak ci ostatni!...

— Umarli szybko jeżdżą. *) I widziałem przed sobą wszystkie klasy ludzi, którzy mieli władzę na ziemi i nie mieli miłosierdzia nad uciśnionymi i wysysali z nich ostatnią kroplę krwi a podlili ich wszelkimi sposobami aż do szpiku kości. Czyż te czasy mają trwać przez wszystkie wieki? Zawsze będą rycerze młota i kowadła? Czyż nie przyjdą lepsze czasy kiedy każdy będzie pamiętał, że się jest i młotem i kowadłem i że trzeba być łagodnym młotem a użytecznym kowadłem a nie podłym narzędziem. Przyjdą takie czasy! kiedy liczba takich jak ty rozrośnie się w miliardy: kiedy myśli ich stanie się ciętą i krwią.

*) Znane wyrazy z ballady Bürgera: Leonora.

— Mieć władzę, mieć bogactwo! Byłaby to piękna rzecz być panem tutaj i właścicielem wielkich fabryk. Być opiekunem i ojcem tysiąca robotników. Ale nie ma władzy i bogactwa. A z resztą doktor Willibrod Snellius mawia, że jak się tylko kto dostanie do władzy lub dorobi majątku, to go zaraz napada jakaś świerbiąca chęćka nadużyć i władzy i bogactwa, Bah!

Odszedłem od okna, spuściłem roletę i siedłem położyć się spać; nagle stanąłem i zacząłem się przypatrywać wszystkim szczegółom w pokoju. A zatem w pośród takiego przepychu wychowała się od dziecka: po miękkich kobiercach stapały jej maleńkie nóżki, drogich materij dotykały się ręce a piersi oddychały balsamiczną wonią kwiatów i pachnideł. Jeżeli by to było prawdą że podłe samolubstwo spotka ten sam los co szlachecka duma, był by to dla niej straszny cios! Nazywała mnie swoim wiernym Jerzym, zabójcą smoków! Nie chciała być uratowaną a może i ja, biedny chłopek nie mógłbym być jej uratować. Ta przeciwnie, nie chciałaby może zginać i mógłbym ją może wyratować bom już nie młodzieniaszek.

Zwróciwszy oczy w inną stronę ujrzałem mój mały tłomoczek tuż przy mojem łóżku postawiony. Roześmiałem się na głos, bo rzeczywiście czyż to nie śmieszna rzecz była, że ja, nie posiadający nic więcej tylko to co w tłomoczku było, chciałem taką wielką firmę ratować. Łamałem sobie głowę dla ludzi co w takim domu mieszkają! Położyłem się nareszcie i obudziwszy się na nowo, śmiać się poczęłem sam nie wiedząc z czego.

ROZDZIAŁ XI.

Kiedym się rano obudził, wiedziałem już z czego się wczoraj śmiałem. Przyszła mi na myśl owa wstążeczka w bukietcie i miałem nadzieję rozwiązać za jej przewodnictwem, wszystkie zagadki otaczające mnie do koła. Teraz, już przytomny, musiałem przyznać, że to nie innego tylko sentymentalne porwy panny Pauliny — dziecinne igraszki i znowu zaczął mnie obsiadać wczorajszy niepokój. Otrząsnąwszy się z niego z uśmiechem czytałem znaną mi dewizę i pomyślałem zaraz:

— Czy to prawda czy żart? czy to tylko sentymentalne bzdurstwo panny Bête lub swawolny żart młodej dziewczyny? Zawsze jest to dobre słowo i biorą je tak, jakby je do mnie wprost powiedziano. Będę szukał a co znajdzie niech los rozstrzyga.

Schowałem wstążeczkę żeby nie wpadła w ciekawe ręce Wilhelma, ubrałem się i wyszedłem z pokoju. Oczywiście dziedziniec i zabudowania obok niego, zmieniono zupełnie, znalazłem się jak w obcym kraju. Poszedłem dalej: tam gdzie był park wznosiła się cegielnia a niedaleko ogromny browar i gorzelnia. Nigdzie ani jedno drzewo nie ocalało, pnie tylko sterczały jeszcze, bo nowy dziedzic nie wiele dbał o wykarczowanie pola, nie wierzył w rolnictwo. Na końcu parku była sadzawka i wielka kępa starych buków, przez którą w las się z parku wchodziło. Sadzawka bajecznej głębokości, miała dwanaście stóp, spuszczone ją żeby z niej szlam wybrać a z buków, dziwnym trafem jeden jedyny pozostał, na którym moje imię i datę wyrzynałem, kiedy pierwszy raz zobaczył tu Konstancję. Głęboki smutek i żal padły mi na serce a jednak była to historyczna konieczność, że stare zamki, stare dwory pruchnieją i nikną z ziemi. Zniknęła nawet owa jedyna wieża co się z całego zamku Zehrenów opierała dotąd czasowi. Zburzono ją a tam gdzie unosił się dumny orzeł, stanął teraz ozdobny i elegancki domek. Drzwi były zamknięte, firanki we wszystkich oknach pospuszczane. Na południowej stronie pod szeroką werendą stały ławki i stoły.

Usiadłem i zacząłem myśleć jak to na tym świecie się dzieje. Czy to rządzi kto tem wszystkim, czy tylko ślepa konieczność kieruje światem i ludźmi? Czy to wszystko tylko bezwiednie i bezcelowo istnieje? Słońce już weszło, wstałem i poszedłem na dół ku brzegowi ową drogą, po której pierwszy raz szedłem z Dziakiem od morza na górę. Dzisiaj zrobiono tam wygodne schody prowadzące do tartaka, którego klekotanie zdaleka było słychać a który tak się ładnie i prędko uwinął, że już cały przepyszny park i las w Zehrendorfie pokrajał na swoich piłach.

— Chciałbym żebyśmy nie byli tak pilni, odezwał się do mnie majster — bo razem z lasem i wody nam brakło, zaledwie trzecią część roku tartak się

porusza i nie może wystarczyć wszystkim zamówieniom. Pan radca dał innym przykład i wszyscy zaczęli sprzedawać i wycinać lasy tak, że wkrótce na całym wyspie jednego nie będzie drzewka. Mówiłem to nieraz panu radcy, ale nie chciał mnie słuchać, a teraz straty...

— Może by machina parowa pomogła co na to?

— Machina dobra rzecz, ale woda tańsza niż para. Nie wiele ten zakład już teraz przynosi aż przyjdzie do tego, że się zabije kurę żeby mieć jaje. Wszyscy, co rozum mieli, radzili panu radcy żeby nie wycinał odrazu całego lasu, żeby zostawił jakąś ochronę dla młodzieży od ostrych morskich wiatrów. Nie teraz tam nie rośnie, albo liche i koślawe, jak pan zapewne sam widział idąc od zamku. O! o! z naturą nie można tak postępować, bo ona nie taka cierpliwa jak my ludzie.

Majster był mały krępy mężczyzna; na twarzy widać było myśl i pojętność, z zajęciem słuchałem jego mowy. Urodził się na wyspie, znał dobrze tutejszych ludzi, ziemię i interesa. On to zapewne miał mi pomagać do ustawienia maszyny do łamania wapna, dla tego zapytałem się co myśli o tem przedsiębiorstwie.

— I to nie pójdzie lepiej jak tamto odrzekł. Łamanie z początku wydawało bardzo obficie, ale pan radca wbił sobie w głowę, że im głębiej się zapuści tem więcej znajdzie wapna i znalazł ale wodę, która zaleje wszystko jeżeli jej wasze maszyny nie wstrzymają.

— To jakoś smutno wygląda, wyrzekłem bardzo niespokojny.

— Smutno! odpowiedział majster.

— A gorzelnia? czy i to niepewny interes?

Majster ruszył ramionami i rzekł.

— Dużoby o tem mówić! Zakład jest dobry ale za kosztownie postawiony a transport zimą jest strasznie trudny po naszych drogach. Pan radca próbował z resztek wieży zrobić bitą drogę, ale to na nic się nie zdało, bo grunt kredowy prędko rozmienia, a nie mamy głązów. To mała rzecz, gdyby tylko pana radcę ludzie kochali.

— Co pan mówisz?

Majster spojrział na mnie z niedowierzaniem.

— Możesz pan ze mną otwarcie mówić, i ja przed kilku dniami byłem prostym robotnikiem w fabryce maszyn pana radcy i wszyscy koledzy lubili mnie.

— Jeżeli mi wolno otwarcie mówić, to mi się zdaje, że ludzie tutejsi i rybacy i przewoźnicy i rolnicy, wszyscy razem patrzą na pana radcę jako na człowieka, który się gwałtem wcisnął tam, gdzie dawniej mieszkali lepsi ludzie. Wiem że zmiana ta wpłynie na polepszenie ich bytu, ale mówię tak jak oni mówią. Wiele z nich przypomina sobie, że pan radca nie był zawsze tak bogatym, a nadewszystko że wiele grzechów ciąży na jego skarbach. Wszystko to możeby mu przebaczyli, gdyby był dobrym panem, gdyby dawne złe nowem dobrem przykrył. Ale gdzie tam! Gniecie i kraje ich bo myśli sobie, że muszą pracować. Tak jest! pracują, ale tylko ci, którzy nie mogą inaczej poradzić sobie. Co to za robotnicy i jaka praca to pan wie sam bardzo dobrze.

— Tak jest, tak jest!

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA ZE LWOWA.

Przechadzki, wycieczki, majówki — oto główna część programu wiosennego tych mieszkańców Lwowa, którzy codziennie bodaj jedną godziną swobodną rozporządzają.

Pod wieczór wyludniają się ulice Lwowa, a połowa ruchu miejskiego przenosi się na ścieżki i chodniki Jezuitckiego ogrodu, Wysokiego Zamku, Pohulanki, ogrodu botanicznego i innych miejsc publicznych. Lwów nie jest ubogi w miejsca spacerowe, a kurzawa uliczna i wcale nieprzyjemne wycieki naszej Półki, potęgają urok i zalety każdego choćby najmniejszego ogródka.

Jezuitcki ogród jak zawsze tak i w tym roku doznaje szczególniejszych względów publiczności Lwowskiej. W piątek i sobotę zabiera zazwyczaj inteligentniejsza i zamożniejsza część ludności izraelskiej cały ogród dla siebie, w niedziele kontyngens spacerowy składa się tu przeważnie z rzemieślniczej ludności, zachwycającej się nieszczęśliwą muzyką wojsko-

wa, a w inne dni przybiera ogród poważną i arystokratyczną więć fizjonomię. Nie rzadko spotkać się można wtedy z jakimś imponującym strojem i pyszną toaletą, szukającą tu jakby na wystawie powszechnej wielbicieli i amatorów, często usłyszeć można francuską konwersację z całym akcentem wyższego tonu i odpowiednimi grymasami arystokratycznymi. Dostaje się tu tu reprezentowaną złotą młodzież, przebiegająca chodniki hałaśliwie i z wyzywającą postawą. W bocznej mniej napelnionej ludźmi części ogrodu, znaleźć można marzycieli napompowanych sentymentalnymi uczuciami i chorobliwą poezją albo studentów pochylonych nad książką, od której dość często niespokojne oko odwraca się ukradkiem w inną stronę.

Główną zaletą Jezuickiego ogrodu jest jego szczególne położenie w pobliżu samego centrum miasta. Ta zaleta zjednała ogrodowi życzliwość lwowskiej publiczności i palmę zwycięstwa nad Wysokim Zamkiem, nieskończenie wyższym od ogrodu pod względem prawdziwego uroku i przyjemności. Góra zamkowa jest dość wysoka i stronna, droga prowadząca na szczyt góry jest dość uciążliwa, ale wszelkie te przykrości wynagradza obficie precudny widok rozciągający się ze szczytu góry i jej cieniste i piękne chodniki. Wysoki zamek zaszczycają swoimi względami szczególnie zwolennicy sportu. Często spotkać się tu można z całym szeregiem najpiękniejszych karet, przesuających się po środkowej drodze.

Pohulanka ma fizjonomię zupełnie odmienną od obu tych miejsc spacerowych. Położona w dalekiej odległości od miasta, zgromadza wiele prawdziwych amatorów wiejskiej ustroni i Czechów lub Niemców, którzy dla dobrego piwa chętnie przebiegają daleką przestrzeń i z kufem w ręku w cieniu drzew, w kółku znajomych i rodziny, przesiadają tu całymi godzinami.

Wały w tym roku dzięki niewielkiemu sprytowi naszej rady miejskiej stały się nieużytecznymi. Rada miejska korzystając z gruzów rozwalonego gmachu pokarmelińskiego, chciała polepszyć chodniki podwyższąc go cokolwiek. Jestto jak się już teraz okazuje plan bardzo dobry, praktyczny ale przedsięwzięty już wśród pory wiosennej i leniwo prowadzony przyniósł publiczności szkodę, gdyż pozbawił ją miejsca spacerowego położonego w samym środku miasta. To też piękności i eleganci lwowskie, które regularnie w każdą niedzielę i święto, biegły w południe po mszy z kościoła katedralnego i jezuickiego na wały, przez cały miesiąc dotkliwie uczują tę niewczesną reperację, a złota młodzież która o tej porze także robiła pielgrzymkę na wały niemniej ubolewa zapewne nad tem przedsięwzięciem rady miejskiej. Ale niedogodność ta ustąpi prędko a skorzystamy dużo na tem bo będziemy mieć za to wyższe o kilka cali i gładkie jak posadzka wały. Są to główne spacerowe Lwowa. Oprócz tego mamy jeszcze drugie wały czyli skarpy nie bardzo lubione przez publiczność lwowską. Spotkać się tu można chyba z lwowskimi *lazaroni*, którzy drzemają najwygodniej na ławeczkach albo siedzą jak skamieniali i używają błędnego *farniente*. O pewnych godzinach zbiega się codziennie na skarpy młodzież z pobliskich gimnazjów i spędza kilka minut rekreacyjnych. Wtedy tylko ożywają się skarpy trochę wyższym ruchem i gwarem.

Przyjemny chociaż bardzo mały ogród botaniczny jest prawie zawsze pusty. Tylko młodzież akademicka zaszczycą go swoimi względami, bo z ogrodem sąsiaduje uniwersytet.

Skreśliwszy wam tak pobieżnie miejsca spacerowe naszego miasta, które o tej porze wszędzie pierwszorzędą odgrywają rolę, przechodzę teraz do kilku spraw artystycznych i literackich. Skok to wielki i niestosowny, ale swobodna rola korespondenta pozwala na podobne awanturnicze zwroty.

Najważniejszą nowiną artystyczną jest niezawodnie pobyt Jana Królikowskiego we Lwowie. Teatr w porze wiosennej bywa u nas zazwyczaj pusty, w najsmutniejszym tego słowa znaczeniu. Przyjazd Królikowskiego przejął wszystkich miłośników sceny ogromną radością, ożywił teatr i potrafił nawet ludzi najobojętniejszych zająć i zwabić na przedstawienia. Przez cały czas pobytu Królikowskiego kassa teatru naszego była najformalniej obleżona, a sam teatr przepełniony nadzwyczajnie. Kto chciał bilet dostać na jakiekolwiek przedstawienie, musiał rozwinąć formalny plan strategiczny, by się wcześniej do-

stać do kasy albo musiał polować na jakiego szczególnego człowieka, który miał bilet zamówiony i gotów był rzec się jednego wieczora.

Po raz trzeci przyjechał obecnie Jan Królikowski do Lwowa, a zawsze spotyka go szczerze i serdeczne przyjęcie. Jestto hołd oddany pięknemu talentowi naszego gościa. Taki powszechny entuzjazm dla gry waszego artysty, jest w końcu naturalnym wynikiem pojawienia się wielkiego artysty na scenie Lwowskiej, ubogiej w prawdziwe talenty, wyzyskiwanej jak każde inne przedsięwzięcie przez dyrekcyę, a w końcu profanowanej ustawicznie niedołęzną krytyką, której wskazówką nie jest dobry smak i prawda artystyczne, lecz uprzedzenia i osobiste względy. Jan Królikowski wygląda jak olbrzym na scenie Lwowskiej. Gra jego traci może wiele przez nieszczęśliwe odegranie innych ról przez Lwowski personel teatralny, ale za to z drugiej strony tu dopiero można poznać tę ogromną wyższość talentu, nad miernością artystycznej rutyny nad nieznosną manierą, głębokiego studyowania roli nad płytkie pojmowanie charakteru i deklamatorskie wyrzucanie słów pojedynczych.

Warszawa zabrała nam najkosztowniejszy klejnot naszej sceny pannę Romanę Popiel. Lwów zrozpaczony tą stratą, ale prawdziwi przyjaciele talentu panny Popiel cieszą się z tego. Talent tej artystki pod umiejętnym kierownictwem, doprowadzić może do świetnych rezultatów. We Lwowie talent panny Popiel zmarniećby musiał niechybnie.

Dla tych tedy powodów wyjazd panny R. Popiel do Warszawy, jest ocaleniem jej pięknego talentu. Za jej przykładem powinni pójść i młodzi artyści jak np. pp. Leszczyński i Wolański, dla których teatr Lwowski, jest zaporą w postępie i rozwoju talentu.

Dla literatury perjodycznej zwłaszcza niektórych pism świeżo założonych obecna pora jest chwilą krytycznego przesilenia. Znosi się i to już nawet otwarcie na upadek kilku pism perjodycznych. Jestto zresztą spodziewana i oddawna przewidywana ewentualność.

Galicja bowiem tyłu pism, ile ich obecnie wychodzi, w żaden sposób utrzymać nie może. Liczba pism Lwowskich i Krakowskich w tej chwili może nawet o wiele przewyższa liczbę pism Warszawskich, chociaż cyfra przedstawiająca czytającą publiczność w Galicji jest tak niską, że wystarczyć może zaledwie na utrzymanie kilku wydawnictw. Mimo to jednakże corocznie pojawia się w Styczniu, kilka nowych prospektów i pism wydawanych najczęściej przez ludzi, którzy się dostatecznie nie obliczają, z faktycznym stanem rzeczy i własnymi siłami, lecz plany swoje opierają na wymarzonych podstawach. Podobne wydawnictwa istnieją zaledwie kilka miesięcy. W połowie roku uszczupla się liczba pism, ale przy końcu drugiej połowy wraca na chwilę do dawnej wysokości. W obec takiego stanu rzeczy żadne pismo nie może oprzeć się na trwałej podstawie czyli na imponującej liczbie prenumeratorów, a co gorsza pisma, które mają po za sobą już kilkoletnią przeszłość zamiast wzrastać chylą się ku upadkowi.

Jestto obraz naszych literackich stosunków w najogólniejszych zarysach. Wyczerpujący obraz tego przedmiotu odkładam do późniejszych listów.

B.

Przegląd teatralny.

Wdowa niepokieszona. Komedja w dwóch aktach
p. Mery z francuskiego tłomaczona.

(Pierwsze przedstawienie dnia 4 Czerwca).

Nie podejmujemy się dzisiaj zdać sprawy z treści powyższej komedji, nie dlatego ażeby ta treść była za wikłaną, ale że jej wcale niema, a co najwięcej jest jej tylko tyle ile ironiczny tytuł wskazuje na afiszu: *niepokieszona wdowa* która daje się pocieszyć. Każdy, oczywiście o rezultacie tym wie jeszcze przed otwarciem kurtyny, całą tedy dlań intrygą i tajemnicą są środki do tego rezultatu prowadzące. Owoż, wyobraźmy sobie jakieś szalone *imbroglio*, jakiś wir, zgiełk, wrzawę, sytuację logicznie najniepodobniejszą, nie-

dorzeczności uderzające, ludzi poprzemienianych w jakieś fajerwerkowe race z których autor, zamiast scen tworzy obrazy drgające świetnymi ogniami pyrotechnicznego komizmu i werwy śmiejącej się pustotą. Gdyby autor na sto sążni w ziemię schował był swoją narodowość, poznalibyśmy w nim francuza. Wszak to podobno francuzka rzecz całe wieczory przepędzać przyjemnie mówiąc o niczem? Większa może sztuka niczem wypełnić dwa akty, na niedorzecznościach się opierając. Ale mędrkuj sobie jak chcesz, filozofie i krytyku, marszcz czoło, nikt tam prawideł twych nie usłyszy pod śmiechem całego audytorjum wzniesionym nieustannymi pociskami Momusa.

Nie jesteśmy wcale skwapliwi do śmiechu z głupstwa, jednak śmieliśmy się serdecznie, a w tem taki jest sekret. Mimo że całe założenie oparte jest na fałszu i niedorzeczności, mimo że i środki (sytuacje) niewiele więcej warte od założenia, jest jednak w tej sztuce prawdy dużo, prawdy i oryginalności, jeśli nie charakterów, bo to za wysoko, ale temperamentów ludzkich, które autor, jak dowcipne dziecko baka, lub skaczącego poliszynela, puszcza w zabawną grę kombinacji. Milcząc, ale jawnie i niejako w dobrej wierze, autor z góry wyrzekł się tego by być brany na serjo, ale powiedział niejako: bierzcie mnie jakim jestem, a ja was zabawię... jasełką, która jednak po za pustotą może mieć i swoją poważną stronę. Dotrzymał słowa.

Sama *Wdowa* (p. Rakiewiczowa) jest tylko okazją do przyczyny, nawet jej *pocieszyciel* Leon (p. Tatariewicz) nie ma tu głównego udziału to za poważne figury do fajerwerku. Tu cała waga znaczenia leży w figurach podrzędnych. Subretka (panna Gilska) dowcipna, dwie szalone pałki z dzielnym sercem, w osobach pp. Świeszewskiego i Szymanowskiego, stary Lucyper oszczędzstwa wyobrażony przez starą pannę, a doskonale przez p. Mazurowską oddany, stary kawaler w pretensjach do młodej wdówki którego wcielił p. Damse; nareszcie stary jakiś niedołęga, przyjaciel i protektor matuzalowych panien na wydaniu, którego znakomicie ale to w całym znaczeniu znakomicie przedstawił p. Adler, — oto kohorta którą dowcipny pisarz francuski szarżuje dla zdobycia efektów komicznych.

Naturę wszystkich tych postaci, w krótkich wprowadzie zarysach, czasem kilku tylko słowy, autor przedstawił tak, że w nim zaraz poznać można głębszego myśliciela i niepospolitego malarza charakterów, gdyby szło o poważne rzeczy przeprowadzenie. Taki wybryk dobrego humoru od niechęcenia napisania, czasami więcej wart, niż rzecz bardzo serjo i logicznie obrobiona, której jednej tylko maleńkiej rzeczy brakuje — talentu.

Artyści nasi grali jak wirtuozy, jest to wreszcie dosyć zwykły ich sposób grania — w komedji. Nie to też zatrzymuje tu uwagę naszą że wszyscy grali dobrze, ale to, że dopiero w tej komedji widzieliśmy, prawdziwie a nawet z pewną świetnością, odznaczające się dwie osoby, które dotąd zawsze widywaliśmy otoczone jakąś atmosferą mierności, to panna Gilska i p. Szymanowski. Panna Gilska, w roli subretki była tak naturalną w mowie, umiarkowaną w gestykulacji, zwinną bez krętaniny, słowem prawdziwą, żeśmy się szczerze ucieszyli czy to z jej postępu, czy z tego że jej dostała się rola, która nareszcie mogła uwidatnić na lepszą skalę lub w lepszym świetle zdolności jakie widać posiada. Pan Szymanowski miewał już role w których mogły się wykazać zasoby twórcze, ale tutaj był on, rzecz można, pierwszy raz dopiero istotnym artystą, nie zaś kandydatem, jakby się przerodził, z trywialnego wyszlachetniał, nabraw jakiejś pewności siebie, dosyć powiedzieć zdumiewał nas tą raptowną zmianą, miejscami porywał dzielnością, akcją. Winszujemy obojemu tym młodym artystom, i prosimy tak dalej, na przód, namysłem i pracą.

Stara to podobna sztuka ta *Wdowa niepokieszona*, ale w takich dobrych rękach długo jeszcze może przysługiwać się scenie, bo słuchacz wychodzi po niej wypoczęty umysłem i rozweselony.

X.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszy z drzeworytami i arkusz z krojami.



**Dalszy ciąg objaśnień dodatku
arkusowego dołączanego do N.
23 Tygod. Mód.**

N. 1. Szydełkowy szlaczek.

N. 38 i 14—15. Ubra-
nie chłopczyka

(Majtki, kamizelka i kaftan) od 6—8 lat.

Krój na dodatku N. II. Fig. 5—9. Deseń na
dodatku Fig. 42—43.

Ubranie to z żółtawego korciku, lamo-
wane jest ciemno-brązową taśmą i podo-
bnym sutazem wyszyte. N. 14—15,
przedstawia przód i tył, gumą
przy nodze ściąganych, na bo-
ku spiętych majtek, z prak-
tycznym przypinaniem
pod kamizelką. Gór-
ny brzeg majtek
sfaldowany obję-
ty jest 3 cent.
szerokim a
34 cent.
długim
korcikowym

paskiem. Pa-
sek powinien
mieć z przo-
du dwa rogo-
we guziki, a na
końcach po 1 dłu-
gą wój dziurce. Trzema
dziurkami opatrzone pa-
sek obejmujący tylną polo-
wę majtek sfaldowanych w gó-
rze, ma 29 cent. długości. Kamizel-
ka przyrządzona podług Fig. 6—7 na
brązowe rypsove guziki spinana, ma trzy
guziki z tyłu do przypinania majtek, a z przo-
du dwa, 3 cent. długie paski dziurką w dole opa-
trzone, pod spodem podszyte, jak to objaśnia ryc. 15.
Arabeskowe wyszycie majtek, kamizelki podłużnie z przo-
du wyciętej i podług Fig. 8—9 przyrządzonego kaftana spię-
tego pod wykładem na 1 tylko guzik, przedstawia deseń umiesz-
czony na Fig. 42—43. Półkoszulki N. 18 i 19 mogą być do tego
ubrania noszone.

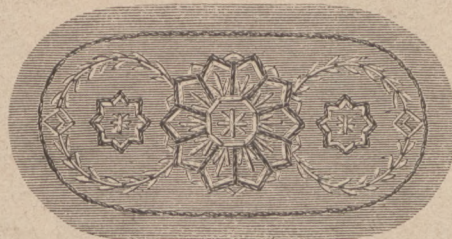
N. 39. Fartuszek dla dziewczynki od 5 — 7 lat.

Krój na dodatku N. III. Fig. 10—13.

Figury 10—12
na dodatku podają
formę do zapinania
z tyłu, przyrządzo-
nego fartuszka
z gorse-
cikiem na
pod sze wce,
który z nie-
bielonego



N. 3. Kwadrat z siatki gipiurowej i haftu.

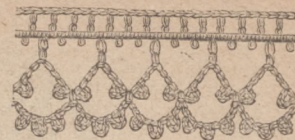


N. 4. Wschodni haft na futerałik do biletów wizytowych
lub portmo-



N. 7. Podstawka do flakonów.

nie przedź się osuszy. Model 84 cent.
długi ma trzy proste bryty, razem ze sta-
niczkiem skrajane podług Fig. 28—29
i podłużone w kierunku strzałki.
Składając we dwoje na prawą stro-
nę, najpierw przykroć należy
podług Fig. 28 dwa zacho-
dzące na siebie przody;



N. 2. Szydełkowa koronka.

bryt tylny kraje się w całości podług Fig. 29, uważając
na trzy faldy w każdej połowie tylnego bryta nazna-
czone, 66 cent. szeroki w górze, w samym środku
wymaga rozporka, 28 cent. długiego. Na szwy
staniczka od u do v, materiał się tylko nacina
i przesywa wzdłuż linii naznaczonych, roz-
kładając szerokie brzegi szwów, przez
co stanik lepiej leży. Bryty zszy-
wają się krytym szwem, a
faldy naznaczone przy-
twierdzają się pod
szwami stanika ku
przodom. Przy-
szywszy faldy
tylne roz-
chodzące się,
ku dołowi
podług linj

na Fig. 29
naznaczone.

całą spódnic-
zkę aż do
wykroju i tylne-
go rozporka lamuje
się przystębnowaną per-
kalową pliską, która kilka
razy naszyta, stanowi także
garniturek spódniczki. Wzdłuż linj
składowej oznaczonej „środek przo-
du“ fastrzygują się oba przody, gład-
ko w górze przypadające na siebie, a ob-
równawszy je dostatecznie, daje się dopiero
lamówka przy wykroju i w rozporku tylnym.
Brzeg przodu na wierzch zakładanego jak to ryci-
na 40 wskazuje opatruje się bandażami. W stanie
podszywa się dla ściągania, 2 cent. szeroki perkalowy
pasek; guziki i dziurki zapinają stanik w tyle. Ramiączka
Fig. 30 lamowane jak spódnica, podług odpowiednich znaków
do stanika przyszyte, przypinają się na guziki do przodu.

N. 1 i 2. Dwa
szlaczki szydeł-
kowe.

Łatwe te
i niepotrze-
bujące opisu
szlaczki, zro-
bione z bia-
łych nici slu-



N. 6. Fartuszek z garnirunkiem z liści.

N. 5. Fartuszek z kokardami, plisami, frendzlą i muslino-
wym wolantem.

plótna Bizonne na modelu, może być także z czarnej ma-
terji lub białej piki z ozdobnym jakim wyszyciem. Ubra-
nie fartuszka składa się z 3 cent. szerokiego paska
pawową bawełną wyszytego w ząbki, co się bardzo
pięknie na popielatym płótnie wydaje. Do jedwab-
nych lub kaszmirowych czarnych fartuszków uży-
wana jest bufka z nagłówkiem.

N. 40—41. Wełniana spódniczka.

Krój na dodatku N. IX. Fig. 28—30.

Spódniczka ta z zachodzącymi na siebie przodami z bo-
ku spinanymi, używa się także do zarzucania na dziecko
wychodzące z kąpeli, które w miękkiej flanelowej tkani-

żyć mogą do oszycia bielizny, wykonane z czarnego je-
dwabiu używane bywają za nagłówek do frendzli
wiązanej, do przystrojenia szarf przy sukniach lub
końcy krawatek.

N. 3. Serwetka z siatki gipiurowej
i haftu.

Podług podanego wzoru, odrabiać można
rozmaitej wielkości kapy i pokrowce tak na
meble jak poduszki i do pokrycia łóżek.
Kwadraty z siatki gipiurowej mogą być małe
lub większe, stosownie do przeznaczenia swe-
go. Kwadraty z cienkiej weby haftują się atlaszkiem scie-
giem płaskim lub haftem angielskim, brzeg odzierguje się



N. 8. Płaszcz z peleryną (Pleczy). N. 9. Płaszcz z peleryną (Przód).

N. 10. Ubranie spacerowe dla panienki od 8—10 lat.

N. 11. Ubiór dla chłopczyka od 6 do 10 lat. N. 12. Ubranie spacerowe dla panienki od 12 do 15 lat.



N. 18. Chustka kaszmirowa haftowana (Tyl).

N. 19. Chustka kaszmirowa haftowana (Przód).

N. 20. Kostjum spacerowy (Pleczy).

N. 21. Kostjum spacerowy (Przód).



N. 13. Ubranie dla
małego dziecka.

N. 14. Kostium dla dziewczynki.

N. 15. Ubranie wizytowe.



N. 16. Suknia strojna.

N. 17. Suknia wizytowa.



N. 22. Suknia strojna (z tyłu).

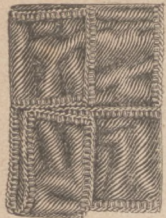
23. Suknia strojna (z przodu).



N. 24. Ubranie domowe.

N. 25. Ubranie domowe.

lub ostępnowywa listewką i zeszywa okrętką do siatki. Na zakończenie zamiast kwadratów wszywa się trójkąty płóciennie i oszywa gipsowym brzeżkiem.



N. 4. Haft wschodni na futera-
lik do krzesiwka, do biletów
wizytowych, na portmonetki
i t. p.

Materiał: pasowe sukno lub kasz-
mir, jedwab' kordonkowy brązowy.
żółty, biały, zielony i czarny, kor-
donek złoty.

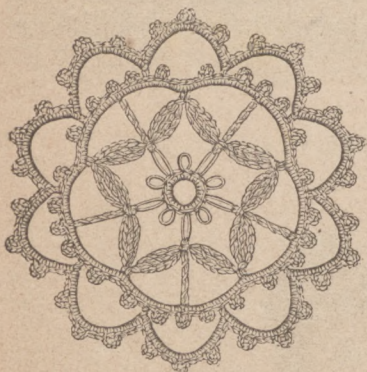
N. 31. Nesaser
do N. 29 (zam-
knięty). Kawałek sukna lub kaszmiru
pasowego podłożyc sztyngiem
i wszyć w ramkę

drewnianą. Kontur środ-
kowej gwiazdy deseni
wyszywa się jedwabiem
brązowym, ściąganiem luź-
nym, za tem raz drugi od
środku żółtym, w ząbki od
brzeża białym. Długie
ścięgi dzielące gwiazdę,
czarnym, listki czyli pro-
mienienie białym, sam śro-
dek gwiazdy jedwabiem
żółtym, a okolenie kordonkiem złotym. Gałązki bocznych
wieńców wyszyć złotem, listki jedwabiem zielonym. Ob-
wód małych gwiazdek kolorem brązowym i białym, a
środek zrobić złotem.

N. 5 i 6. Dwa fartuszki.

N. 5. Fartuszek z frendzlą kokardami, plisami i mu-
ślinową falbanką.

Górny brzeg jedwabnego rypowego fartuszka, ukrojo-
nego w kliny, ułożony jest w 4 faldy i wszyty w wąski
pasek. Dół wycięty w 3 zęby oszty trzema atlasowymi
pliskami z których najwyższa na wieciu zębów przystro-
jona kokardami, najniższa stanowi nagłówek 5 cent.



N. 33. Rozeta do bielizny szy-
delkowa.

szerekiej frendzli.
Z pod frendzli wy-
gląda 8 cent. sze-
roka falbana mu-
ślinowa faldowana.
Teraz czy to do ma-
terji ciemnych, czy
jasnych jedwab-
nych, czy welnia-
nych nawet, moda
wymaga falban i
garnirunków mu-
ślinowych.

N. 6. Fartuszek
przystrojony
liściami.

Także jak poprzedni fartuszek, u dołu przybrany jest
girlandą z liści atlasowych lub aksamitnych czarnych,
szywnym tiulem, lub muslinem podszytych.
Każdy listek ma 8 cent. długości, jest kraja-
ny skośno, u góry w jedną płaską faldę za-
łożony i skosem atlasowym objęty. Kokarda
ze wstążki atlasowej 5 cent. szeroka, łączy
liście na środku.

Dwa także liście dane u góry na zeszy-
ciu klinów imitują kieszonki. Gruby jedwab-
ny sznur z kwastami przytwierdzony do paska
zawijazuje się z boku.

N. 7. Podstawka do flakoników.

Materiał: cienki jedwab paljowego koloru, materia fijo-
kowa, cienka sztywna tektura i cztery wypukłe foremki
drewniane, z tych dwie większe, dwie mniejsze.

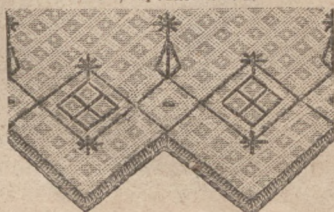
Spód podstawki stano-
wią dwa kółka tekturowe
w przecięciu 6 do 8 cent.



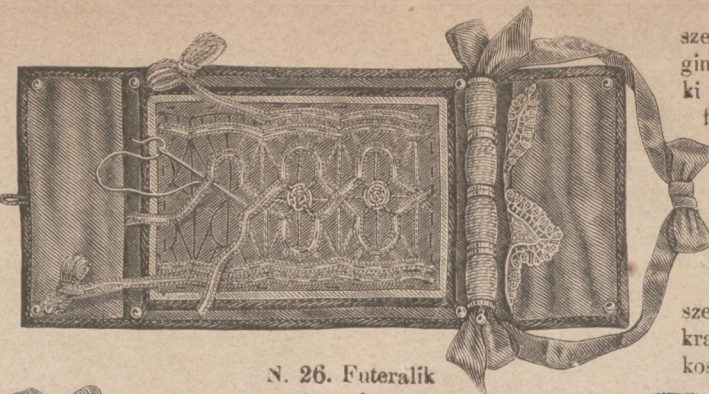
N. 28. Haft na kanwie
panama do N. 26.



N. 29. Haft na pikę. Do ozdoby
kaftaników, i spódnic i t. d.



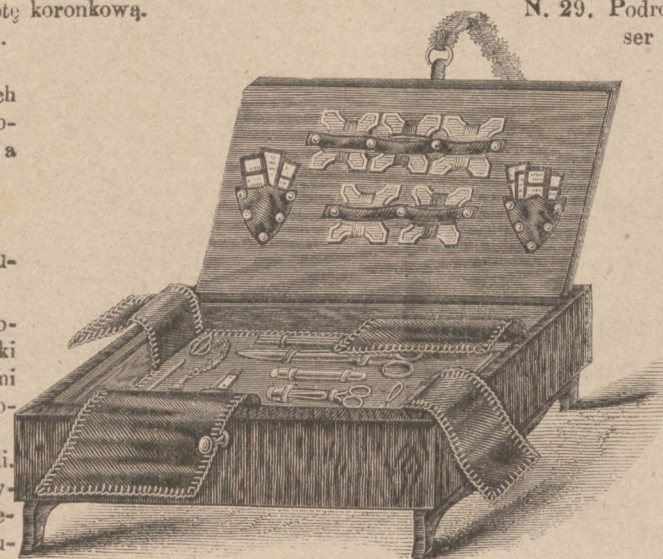
N. 42. Deseń do haftowa-
nia na pice.



N. 26. Futera-
lik na robotę koronko-
wą (otwarty). Haft
na kanwie panama.



N. 27. Futera-
lik na robotę koronkową.
(Zamknięty).



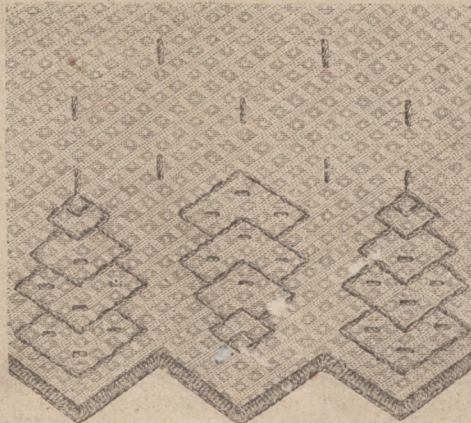
N. 30. Podróżna ławeczka pod nogi i nesaser. Otwarta.



N. 35. Koszula
mężka do ubrania
rannego.



N. 37. Rękaw z wołanem i
bufkami do sukien i pale-
totów.



N. 43. Haft na pikowe sukienki, kaftaniki itd.



N. 38. Rękaw z garni-
runkiem koronkowym.

szerekie, złęczone paskiem 1 cent. szerokim a 1 1/2 dłu-
gim. Na tym pasku przymocowywa się 40 cent. wyso-
ki słupek uklejoný z tektury, pokryty materia i okręcony
frywolitkami z paljowego jedwabiu. Nagłó-
wek stanowią cztery drewniane
foremki pokryte materia z fry-
wolitkami, których ułożenie do-
kładnie N. 7 wskazuje. Riu-
sza zdobiega nagłówek uклада
się z materia podwójnej 1 cent.
szerekiej. Boki podstawki stanowi
krążek z tektury 4 cent. wysoki, wiel-
kością spódnim krążkom odpowiedni,
do tychże przymocowany. Pas ma-
terji 5 cent. szeroki u-
klada się w 1 cent. sze-
rokie z sobą schodzące
się kontrafaldki, w które
dla lepszéj sztywności
wsuwają się paski tektu-
ry. Tą faldowaną ma-
terją pokrywa się wierz-
chnia strona podstawki,
przyszywa mocno na
brzegach i garniruje u gó-
ry i u dołu 1 cent. sze-
roka riuszą z podwójnej materia.



N. 32. Spód
ławeczki do
N. 29.

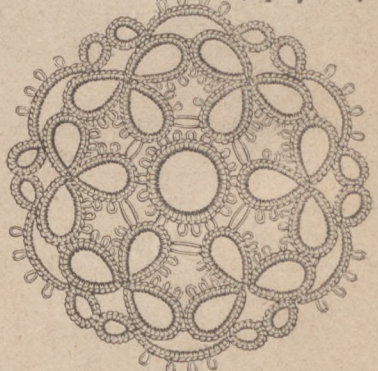
N. 29. Podróżna ławeczka pod nogi i nesaser do robót (zamknięta).

Z cienkiego paljowego jedwabiu robione frywolitki, na-
szyte na faldach materia nasładują delikatną koszykarską
robotę. Frywolitki ozdabiające wierzech wielkiej galki,
stanowią zakończenie słupka.

N. 8. Płaszcz z czarnej ciężkiej materia, przybrany
frendzlą i szeroką plisą atlasową przepikowaną lub prze-
stębnowaną. Kapelusz słomkowy ze splaszczoną główką
i szerokim rondkiem, opasany aksamitką czarną i polnemi
kwiatami.

N. 9. Płaszcz z pelerynką.

Płaszcz z kaszmiru czarnego, oszty szlaczkiem
w guście tureckim 2 do 3 cent. szerokim, przybrany
frendzlą czarną je-
dwabną i takąż
pasmanterją. Czar-
na kaszmirowa su-
knia także 3 razy
szlaczkiem turec-
kim oszty. Kape-
lusz pod brodę
z czarnej koronki,
przybrany pąso-
wym makiem i kło-
sami.



N. 34. Rozeta frywolitowa.

N. 10. Spacero-
we ubranie dla
dziewczynki od
lat 8 do 10.

Sukienka koloru niewarowego z szeroką falbaną, za-
kończona w górze ciemniejszą plisą, przepinaną kokardami
ze wstążki. Kaftanik z dużym wykładanym kołnier-
zem, zapinany na guziczki i paskiem prze-
pasany, ubrany jest plisą ciemną z haftem
łańcuszkowym i jedwabną frendzlą. Kapelu-
sik słomkowy ubrany niebieską wstążką
i polnemi kwiatami.

N. 11. Ubranie spacerowe dla chłopczy-
ka od lat 6 do 10.

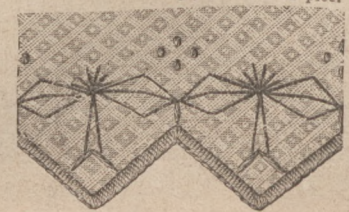
Szerokie majteczki, kamizelka z wykrojem
szalowym, kurtka z aksamitnym kołnierzem
i kłapkami, oszty są taśmą jedwabną. Garnitur cały
z ciemnego letniego korciku. Pończochy do kolan w praż-
ki pasowe i popielate; buciki węgierskie z boku na guziki
zapinane. Kołnierzyk
u koszuli wywinięty. Kra-
wacik czarny.



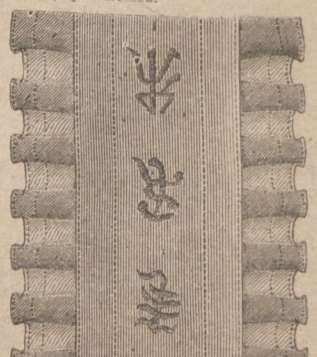
N. 40. Haft na pikę. Do ozdób kaftaników, spódnic itd.



N. 41. Haft na pice.



N. 44. Deseń na pikowe
napiersniki i t. d.



N. 36. Garnirunek do
N. 35.

